

ZAJMUJĄCE CZYTANKI HISTORYCZNE.

ODNOWICIEL

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

Edmunda Jezierskiego



Z 3 RYSUNKAMI ANT. GAWIŃSKIEGO

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Дозволено Военною Цензурою
Варшава, 21 Апрелья 1915 года

WSTĘP.

Po skonie Mieszka II w r. 1034 rządy krajem objęła zamiast małoletniego syna jego, Kazimierza, matka tegoż, Niemkini, Rycheza, siostrzenica cesarza niemieckiego, Ottona III. Skorzystali z tego kmiecie, buntujący się przeciwko królowi i wyższym stanom, żyjącym z ich danin i pracy, a wypędziwszy znenawidzoną Niemkinię z Polski, poczęli mordować urzędników, rycerzy i księży, burzyć grody i łupić kościoły.

Jednocześnie też tysiące ich porzucać poczęły wiarę chrześcijańską, powracając do poganizmu.

Skorzystali z tego zamętu i bezrządu sąsiedzi Polski i, jak kruki na zdobycz, rzucili się na nią: Brzetysław czeski zagarnął znaczną część kraju z Krakowem i Gniezmem, Ruś też uszczknęła cokolwiek, a cześnik dworu króla Mieszka II, Masław, ogłosił się księciem Mazowska, odrywając je od Polski.

Rycheza z młodocianym Kazimierzem schroniła się do Niemiec, udając się pod opiekę cesarza Henryka III, który zajął się nimi gorliwie, i sam, na czele licznych wojsk, wyruszył przeciwko królowi czeskiemu, Kazimierza zaś z posiłkami niemieckimi w r. 1040 wyprawił do Polski. Wsparty pomocą cesarską, stłumił Kazimierz bunt niewolników i kmieci—i objął rządy.

Zabezpieczony opieką cesarza od napaści Czechów, zaprzyjaźniony z Rusią przez ożenienie się z Marią Dobronegą, siostrą Jarosława Mądrego, oddał się Kazimierz pracy pokojowej. Unikając zatargów z sąsiadami, całą usilność zwrócił ku zaprowadzeniu w kraju ładu i porządku, naruszonego podczas bezkrólewia.

Masława, posiłkowanego przez Pomorzan, Prusaków i Jadźwingów, pokonał — i Mazowsze odzyskał; zaprowadził porządek wśród duchowieństwa i urzędników świeckich, odbudował grody i kościoły, zakładał obozowiska, a choć od niewolników i kmieci wymagał dawnych posług i danin, rządził jednak mądrze i sprawiedliwie.

Wdzięczna ludność Polski całej obdarzyła go też za to mianem Odnowiciela.

Zmarł w r. 1058, po osiemnastu latach rządów pokojowych, pozostawiając państwo mocne i odbudowane synowi swemu, Bolesławowi.

I.

Prześlicznie wygląda stary bór.

Złote promienie słońca oblewają szczyty drzew, tworząc na szmaragdowej murawie, przetykanej różnobarwnem kwieciami, ruchome, świetlne plamy.

Z gęstwiny liści rozbrzmiewa wesoły śpiew ptasząt, radujących się ciepłu, słońcu, pogodzie.

Nie dziwota też, że i przedzierająca się przez gąszcz leśną małą dziewczeczka, z koszem pełnym jagód, złączyła głosik swój ze śpiewem ptasząt i idąc z niemi w zawody, wesołą zanuciła piosenkę.

Gdy tak idzie, śpiewając beztroskliwie, rozchyliły się gałęzie i krzaki, kryjące wejście do lochów jakichś podziemnych, czy jaskini i wy-

rzała z nich niemłoda już kobieta, o szlachetnych rysach twarzy, ubrana w żałobne szaty.

— Wesoło ci, Bogno, że tak wyśpiewujesz... — rzekła zcicha.

Dziewczę, przerwawszy piosnkę, rzuciło się ku niej, zawisło jej na szyi i okrywając pomarszczoną twarz pocałunkami, zawołało:

— Ach, matulu... tak cudnie w tym naszym borze! Ptaszyny śpiewają, drzewa i kwiaty woń cudną wydają, że, zda się, radość serce rozsądzi! Toć zapomnieć można o wszelkich smutkach i piosnka na usta wybiega. Daruj mi, matko...

Matka słuchała szczebiotu dziewczeczki, lecz niespokojnie rozglądała się wkoło, jakby szukając kogoś. Wreszcie spytała:

— A gdzie Przemko?

— Pozostał trochę w tyle. Przechodziliśmy właśnie koło tej świątyni, którą Zych na miejsce naszej kapliczki wystawił. Posłyszeliśmy tam jakieś głosy i Przemko poszedł posłuchać, kto rozmawia.

Lęk odbił się na twarzy kobiety.

— Jak on mógł! — zawołała — wiedząc, że ja tu gorzeję z niepokoju!

— Ach, matusiu — mówiła Bogna — jak tam strasznie... jak tam okropnie! Zajrzałam i uciekłam, ile mi tylko sił w nogach starczyło. A toż tam stoi posąg jakiś straszliwy tego ich bożka, a przed nim, na głazie płonie ogień! Przemko pozostał w tyle, a mnie kazał iść do ciebie. Ale nie trap się, matusiu... on wróci, ino go patrzeć.

Kobieta z niepokojem wpatrywała się w dal, aż wreszcie westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi.

Posłyszała dobiegające z gęstwiny czyjeś lekkie kroki i szelest rozsuwanych gałęzi.

Wreszcie z gąszczy leśnej wybiegł chłopiec, lat około czternastu i podbiegłszy do niej, zadyuszany, rozpromieniony, zawołał:

— Matusiu!... matusiu!... com ja słyszał... com ja słyszał...!

— No, co takiego, synku? — spytała zacięta niewiasta.

— Król nasz, Kazimierz, wraca!...

Niewiasta stała przez chwilę, jakby wieść ta gromem ją razila — potem złożyła dziękczynnie dłonie, a pobladłe jej usta wyszeptaly:

— Dziękuj ci, Panie... dzięki... wraca prawowity pan nasz i władca! Zaprowadzi ład i porządek w Polsce całej. Ukróci swawolę, położy kres zbrodniom. Niech będzie chwała wieczna Tobie Panie!... Ukończy się wreszcie tułaczka nasza i śmierć Przesława mego ukaraną zostanie... Zbrodzień zasłużoną karę poniesie!

Bogna i Przemko, w milczeniu, przytuleni do matki, słuchali tych słów, a gdy skończyła, Przemko rzekł:

— Wypadkiem posłyszałem, że Zych-zbrodzień rozmawia w tej swojej bożnicy z kimś, zbliżyłem się i wysłuchałem całej rozmowy.

„Wraca w tych dniach król Kazimierz do Polski, by ład zaprowadzić... — mówił Zych — trzeba będzie mu drogę zabiedz i przypodechlebić się, by mi dziedzinę Przesławową zostawił”.

A na to mu czyjś głos odpowiedział:

— A przecież wdowa i dzieci Przesławowe żywe są.

— Gdzie oni tam żyją — ze śmiechem rzekł Zych — dawno już w boru marnie zginęli i teraz to wszystko moje. Król mnie zrobi rycerzem i żyć będę w spokoju i szczęśliwości.

— A z tem co będzie? — pytał dalej ów nieznamy, a pewnie myślał o tej kontynie pogańskiej.

— Phi — jak powstała tak i runie — odrzekł Zych — i zaśmiał się złowrogo.

Zamilkli, a ja, bojąc się, by mnie nie odkryto,

uciekłem czempredzej, by tobie, matusiu, tę wieść zwiastować.

Przeobrazila się okrutnie kobieta. Z oczu jej strzeliły błyskawice, wyprostowała się i zawołała:

— Niedoczekanie jego! Żywie jeszcze i rodzic, i żona Przesławowa! Żywią i dzieci jego! Zbierajmy się śpiesznie!... Król gościćem dążyć będzie do Gniezna. Zabięgniemy mu drogę i o sprawiedliwość błagać będziemy.

Zakrzętała się śpiesznie i nie minęło nawet parę pacierzy, gdy przez bór przedierać się poczęła wraz z dziećmi, wiodąc pod rękę starca ociemniałego, przytłoczonego ciężarem lat i na wpół sparaliżowanego.

II.

W eichym refektarzu klasztoru w Cluny (Kluñji) we Francji, przy oknie, na północną wychodzącą stronę, stoi młodzieniec w habicie zakonnym — i pelen zadumy i tęsknoty wzrok posyła w dal.

Zda się, przebić nim chce siniejące w oddali góry, przedrzeć się przez lasy i bory i ujrzeć to, co ukochał gorąco, co na wieki w pamięci i sercu jego się wyryło.

I tak dni całe nieraz trawi przy oknie młody zakonnik, zadumany, zapatrzony.

Dnia pewnego rozwarły się ze stukiem drzwi refektarza, a zakonnik, wyrwany hałasem z krainy marzeń, obejrzał się poza siebie.

Na progu stał dziwny jakiś orszak. W towarzystwie przeora i przedniejszych zakonników stało tam mężów paru.

Stroje ich dziwne jakies, bogate, a od boku miecze się zwieszają.

Jeden z nich na poduszce purpurowej trzyma koronę.

Ze zdumieniem patrzy na nich młody zakonnik, a przeor, wskazując go ręką, mówi:

— Oto jest król Kazimierz!...

Orszak cały zbliża się do niego, pada na kolana, a najstarszy z nich, wskazując na koronę, rzecze:

— Miłościwy królu! Przybywamy tu w imieniu całej Polski, błagając cię: wróć na tron ojców swoich, przywdziej ich koronę i rządz nami, kieruj, panuj. Miłościwy królu, cała polska ziemia opływa teraz krwią i łzami. Wkradł się tam nieład, zamieszanie i zbrodnia! Podnieśli głowy niewolnicy i uderzyli na panów swoich. Wytraceni są mężowie, niewiasty i dzieci, i więcej teraz ludzi kryje się po lasach i borach, niż żywie w siołach i grodach. Zatraceniu uległa wiara chrześcijańska, zwalone świątynie Boga prawdziwego, a przywrócone bożnice różnych bóstw pogańskich. Zmiłuj się, królu, nad ludem swoim!... Wróć!... Zaprowadź ład i porządek! Niech sprawiedliwość znów zapanuje w polskiej ziemi. Zlituj się nad nami, miłościwy królu!

Skończył swe błagania mąż sędziwy. Król Kazimierz, który słuchał jego mowy z opuszczoną na piersi głową, podniósł ją — i oczy, w których widniał ból szczery i głęboki, skierował na przeora.

Ten, jakby odgadując myśl jego, odrzekł:

— Synu mój! Czyń, co ci serce radzi. Ojciec święty przesyła ci z Rzymu zwolnienie od ślubów zakonnych i błogosławieństwo swoje na ciężkie trudy rządzenia. Cesarz rzymski wspomaga cię wojskiem, byś prędzej zaprowadzić mógł ład w krainie swojej i zasiąść na tronie ojców.

Nie jeszcze nie odrzekł młody zakonnik. Czas pewien tonął w zadumie, poczem, podszedłszy do wiszącego na ścianie olbrzymiego krucyfiks, padł przed nim i na długą chwilę zatonął w modlitwie...

rodolesław Chrobry. Lecz rodzic twój utracił je; wykorzystali Niemcy ze słabości jego i zagarnęli te ziemie.

Kazimierz błyszczącym spojrzeniem powiódł w ślad za ręką starca, spojrzął na zbrojnych żołnierzy, gwarzących z sobą po niemiecku — i rzekł z cicha:

— A ja, da Bóg, odzyskam je!

— Daj Boże, panie — rzekł, składając ręce, starzec — byście stali się podobnymi do dziada swego... byście, jak on, mieczem zdołali rozszerzyć granice swej dziedziny, byście, jak on, przywrócić zdołali Polskę dawną, silną, potężną, przed którą drżeli sąsiedzi i której nikt się zaczepić nie ważył!

Poważnie spojrzął Kazimierz na starca i odrzekł:

— Spicymirze! Zapominasz o tem, że dziad mój przejął w spadku po rodzicu państwo bogate, urządzone należycie, zaopatrzone we wszystko... a jaką jest dziedzina moja?... Dobywać ją muszę mieczem, przywracać w niej ład i porządek. W gruzach leży cała, więc skądżeż tu mówić o nowych podbojach? Odbudować wpieryw ją należy, podnieść do dawnej potęgi i mocy, a dopiero wtedy marzyć o rozszerzeniu granic. Nie dokonam tego ja — to zrobią następcy moi...

— Wasza słuszność, panie — rzekł, schylając głowę, Spicymir: — wasza słuszność; wpieryw budować i z gruzów podnosić należy, a niemało ich teraz w Polsce całej.

Młody król Kazimierz nie rzekł na te słowa starca, tylko wciąż wpatrywał się w brzeg przeciwnie.

Naraz porwał się z miejsca i z płonąca twarzą zawołał:

— Wojewodo! — nakazujecie natychmiast przeprawę. Dziś jeszcze chcę stanąć na ziemi mych dziadów!

W jednej chwili w obozowisku powstał ruch i zgiełk, siodłano konie, szykowano broń, pakowano rozłożone w namiocie królewskim sprzęty.

Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy drużyna cała stanęła na brzegu rzeki, gotowa do przejścia jej wbród.

Na czele stał na białym koniu król Kazimierz, z odkrytą głową, z oczyma wzniesionemi do góry, cicho odmawiając modlitwę.

Nią to witał kraj rodzinny, do którego powracał po sześciu latach wygnania.

Nią to zrzepił się i dodawał sobie mocy do oczekujących go trudów rządzenia.

A za przykładem jego poszedł sędziwy Spycimir i część drużyny.

Skończył wreszcie król Kazimierz modlitwę i z obnażoną głową skierował rumaka w nurty rzeki, a za nim w ślad poszła drużyna.

Gdy przebyli rzekę i stanęli na przeciwnym brzegu, król zeskoczył z konia, a padłszy krzyżem na ziemię, ucałował ją gorąco, obejmując ramionami, jakby biorąc w posiadanie i władanie. Obecni ze wzruszeniem patrzyli na tę scenę.

Wstał wreszcie król z ziemi i dosiadłszy konia, ruszył naprzód, a za nim drużyna.

Pustka witała ich wszędzie. Pustka tam, gdzie dawniej kipiało życie, gdzie wznosiły się bogate siola i grody.

Sterczące tylko ku niebu krokwie chat popalonych wskazywały na przeszłe życie.

Smutny, posepnemi myślami opanowany, posuwał się król Kazimierz w głąb ludnego i bogatego niegdyś kraju, który przez lata bezkrólewia stał się pustynią.

A przed nim biegła naprzód, przedzierając się do puszczy głuchych, do najbardziej odległych zakątków wieś radosna:

— Król Kazimierz wraca!... potomek Bolesława

Chrobrego wraca, by zasiać na stolicy pradziadów swoich...!

Jednych wieść ta przejmowała radością i szczęściem, że ład i porządek przywróconym zostanie... że prawo rządzić w Polsce zacnie, podczas gdy drudzy uczuwali lęk i trwogę, że król będzie karać za przeszłe zbrodnie i przewinienia.

Na odgłos tej wieści z puszczy głuchych na drogę wychodzić poczęli ukrywający się tam ludzie i witać z radością przybywającego króla.

I zaroily się drogi ludźmi, wołającymi:

— A witajżeż nam, witaj... miły hospodynie!!!

Pod nogi rumakowi królewskiemu sypali kwiaty i znosili mu dary ubogie, a zarazem wskazywali na nędzę, na potrzeby swoje.

Ze łzami rozrzewnienia w oczach posuwał się naprzód młody król i w głębi serca czynił sobie przysięgę, że zrobi wszystko, byle tylko dobrobyt ludu, powierzonego pieczy jego, podnieść, byle tylko odbudować to, co zrujnowało tyle lat bezładu.

IV.

Pośpieszała z dziećmi i rodzicem ku gościńcowi wdowa Przeclawowa, aby tylko zdążyć na czas przejazdu króla.

Odetchnęła wreszcie, gdy znalazła się przy gościńcu i z ust wędrownego kmiecia dowiedziała się, że jeszcze król nie przejechał.

— Lecz mówią — dodał kmieć — że tylko patrzeć, jak będzie przejeżdżać. A wieść głosi, że to pan dobry i sprawiedliwy!

Zatrzymała się tedy wdowa obozem tuż przy drodze, w boru, budując z gałęzi szałas dla osłony od niepogody.

Zasiadła w nim, i czeka... cierpliwie czeka dzień, drugi, trzeci...

A gdy tylko na drodze ukaże się przechodzień jaki, pyta go:

— A król daleko jest?...

Wreszcie jeden z przejezdnych oświadczył jej, że króla ino patrzyć, że wkrótce nadjedzie.

Uzbięrała więc Bogna koszyczek jagód, narwała kwiecia leśnego i uwiła z niego wieńce.

Przemko zaś nałowił w sidła ptasząt leśnych, powsadzał je do klatki. To wszystko na dar, ubogi, wdowi dar dla króla.

Wtem na gościńcu słyhać szum jakiś, jakby pogwar tłumu.

To król jedzie... król...!

Wyszła na gościniec z rodzicem i dziećmi wdowa Przeclawowa i zasiadłszy tam z kraju, położyła tuż obok dary i czeka.

Zbliży się wreszcie król, a ona pada przed nim na kolana, wyciąga ręce błagalnie i woła:

— Sprawiedliwości, królu i panie!

Zatrzymał rumaka król Kazimierz, popatrzał na wynędzniałą niewiastę, na starca kalekiego, na kwitnące zdrowiem dorodne dzieci — i pyta:

— Ktoś zacc jest, niewiasto, i na kogo sprawiedliwości żadasz?

— Jestem wdowa po Przeclawie, rycerzu rodzica twego, miłościwy królu — odpowiada mu — a to rodzic jego i dziatki. Domagam się sprawiedliwości na kmiecia Zycha, który w nikczemny sposób zabiwszy małżonka mego, włóść jego zagarnął, a ja z dziatkami ledwie-że z życiem uszłam. Ulituj się, panie... ukarż go, a nam prawną posiadłość naszą przywróć!

Cień bólu przebiegł po obliczu króla. Patrzył na tę niewiastę wynędzniałą i w oczach jego łzy stanęły.

Ileż on takich nieszczęsnych i wydziedziczonych widział i wysłuchał... a ileż go czeka jeszcze na drodze?

— Dobrze — odpowiada — uczynię zadość twej

proście. Siadaj do koleby z rodzicem i dziatkami: gdy do włóści twojej się zbliżę, sąd wydam, a ludzie moi sprawiedliwość ci wymierzą.



... Zbliży się wreszcie król, a ona pada przed nim kolana, wyciąga ręce błagalnie i woła:

Pochyliła się w dziękczynnym ukłonie wdowa Przeclawowa — i kornie prosi o przyjęcie jej darów ubogich.

Przyjął je król i wnet wypuszczone z klatki ptaszęta z głośnym świergotem uleciały w przestworza na wolność.

Ruszył orszak dalej, a tu o stajnię kilkanaście, z bogatym orszakiem i wspaniałymi dary rozłożył się ów kmic — Zych.

Już szykował się do wystąpienia i przywitania króla mową, gdy naraz wzrok jego padł na siedzącą w kolebie wdowę Przeclawową, rodzica jej męża, oraz Bognę i Przemka.

Zamarł mu język w ustach, zdrętwiał cały, jakby na widok mary jakowej strasznej. Stał nieruchomo czas pewien, wreszcie przetarł oczy, jakby chcąc odpędzić owo zjawisko straszliwe. Lecz nie... nie znika ono!

Poznał wtedy dopiero, że to nie złuda, że to żywe istoty... poznał, że próżnemi byłyby prośby jego do króla i że karania raczej, niż łaski, spodziewać się może.

Zdjęty lękiem, zawrócił na miejscu, znikł w boru, zaszywszy się w jego głębinach.

Tymczasem drużyna jego stała w miejscu, nie rozumiejąc nic z tego, co się stało.

Dopiero, gdy ujrzeli wdowę Przeclawową, pojęli wszystko i z głośnym płaczem radości rzucili się ją witać, ją — dawną swą panią, którą z posiadłości wyzwał nikiemny zbrodzień.

V.

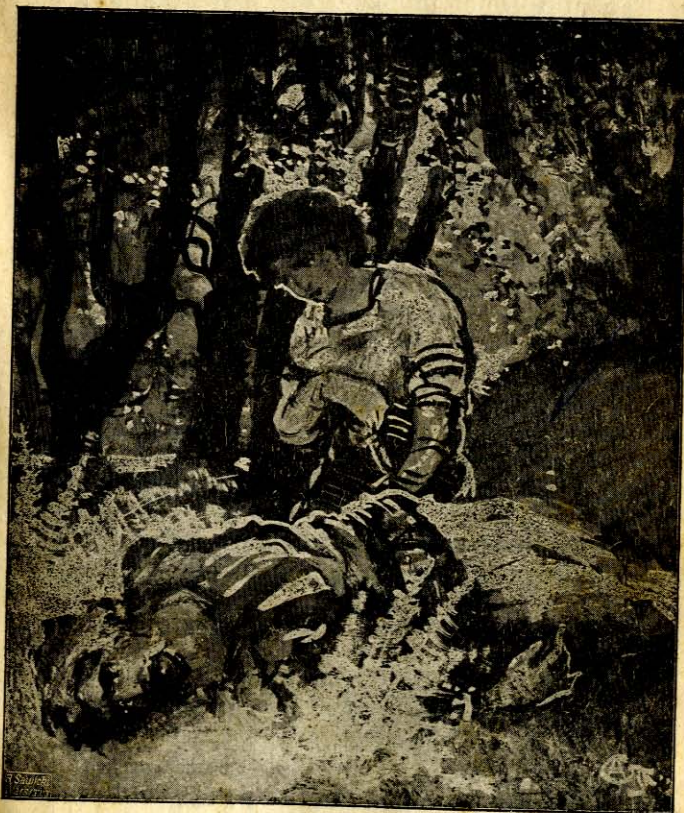
Z drużyną królewską wróciła wdowa Przeclawowa do grodu męża swego.

Wzięto się tam wnet do porządku. Zwalono kontynę pogańską, zburzono bałwany bożków, zalano ogień ofiarny.

Zausznicy i służalcy Zycha uciekli czempredziej, obawiając się pomsty ze strony dawnej pani,

a uczciwi i wierni, siłą tylko przymuszeni do uległości Zychowi, witali ją z radością.

Przemek obiegał wszystkie miejsca, z którymi się tyle wspomnień jego związało.



... Poznał w leżącym Zycha... poznał w nim tego, który zabił rodzica jego!

Był i na mogile rodzica, gdzie go wierni słudzy pochowali, był i w sadzie, i w stajniach.

Wybiegł wreszcie za sad, do głębokiego parowu, zarosłego z jednej strony gęstym borem, a po dnie którego z cichym szmerem przepływał strumień przejrzysty.

To ulubione miejsce dawnych zabaw jego. Tam często z towarzyszymi bawił się w chowanego w licznych wyrwach i zagłębieniach.

I teraz spuścił się w głąb jego, szukając dawnych kryjówek, gdy naraz zdało mu się, że słyszy jęk jakiś.

Przystanął, nasłuchując.

Po chwili jęk ów się powtórzył.

Począł iść na ten głos i wreszcie w głębi parowu, w jednym z licznych zagłębień, ujrzał leżące jakieś ciało ludzkie.

Nachylił się nad niem i naraz, w przerażeniu, cofnął się w tył.

Poznał w leżącym Zycha... poznał tego, który zabił rodzica jego, który był przyczyną nieszczęść tyłu.

Odwrócił się ze wstrętem i w pierwszym porwie sięgnął do zwieszającego mu się od pasa mieczyka.

Lecz po chwili namysłu powstrzymał się od wykonania strasznego zamiaru, jaki mu podyktoowało pragnienie zemsty.

Zych leżał nieruchomy, nieprzytomny, jęcząc z cicha.

Musiał widocznie, uciekając przed groźnym widmem kary, potknąć się na brzegu parowu, wpaść w głąb jego i szwank jakiś sobie uczynić.

Chwilkę jeszcze wahał się Przemko, poczem, zagarnąwszy w strumieniu wody, oblewać nią począł twarz Zycha.

Po jakimś czasie ranny otworzył oczy i błędnie rozejrzał się wokoło. Poznał wreszcie nachylonego nad nim Przemka i skurcz strasnej trwogi przebiegł po twarzy jego. Z trudem przekręcił się na kolana i wyciągając ku niemu błagalnie

rękę, podczas gdy druga zwisała bezwładnie, jęczącym głosem mówić zaczął:

— Złutujcie się, panie!... Darujcie mi życie... nie szukajcie pomsty... nie zabijajcie mnie!

Cień pogardy przebiegł po twarzy Przemka na widok tego tchórzostwa.

Wyprostował się dumnie i rzekł:

— Zaprzestańcie! Wiedźcie o tem, że Przemko Przeclawów bezbronnych nie morduje. Powiedzcie mi raczej, co wam jest?

Te słowa Przemka dodały otuchy Zychowi. Wyprostował się i wskazując na zwisającą bezwładnie rękę, odrzekł:

— Wpadając do parowu, rękę złamać musiałem, panie.

A wtedy Przemko, udarłszy szmat płótna, opatrzył mu rękę, jak umiał i wskazując na wyjście z parowu, rzekł:

— Idź stąd... idź, szukaj schronienia. Lecz pomnij, byś nigdy zdrow i mocen tu się nie pokazywał, gdyż biada ci!

Poszedł Zych z opuszczoną na piersi głową w głąb boru, a Przemko stał długo, patrząc w ślad za nim. Gdy zniknął mu z oczu, uradowany z czegoś, zawrócił ku domowi.

